




Kate Morton

TAJEMNICA  
DOMU  
TURNERÓW



KIEDY PRZEZNACZENIE OTWIERA DRZWI,  
UWALNIA SKRYWANE TAJEMNICE...



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
HOMECOMING

Copyright © Kate Morton 2023  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka/Wydawnictwo Albatros

Ilustracje na okładce: Iya Balushkina/Shutterstock.com (*kwiaty*),  
aksol/Shutterstock.com (*ptaki*), PeGoArt/Shutterstock.com (*drzewa*),

Feodora\_21/Shutterstock.com (*ornament*),

ART. STUDIO VECTOR/Shutterstock.com (*liście*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## PROLOG

### *Adelaide Hills, Australia Południowa, Nowy Rok 1959*

Nowy Rok z pewnością należało uczcić przyjęciem. Co prawda skromnym, bo tylko dla rodziny, ale Thomas oczekiwałby świątecznej oprawy. Inna opcja była nie do pomyślenia, bo Turnerowie szanowali tradycję. A skoro Nora i Richard mieli przyjechać z Sydney, nie było mowy o rezygnacji z ozdób czy wystawnego lunchu.

Isabel postanowiła przenieść przyjęcie do innego miejsca w ogrodzie. Co roku siedzieli pod orzechem we wschodniej części trawnika, dziś jednak coś przyciągało ją do zachodniej, leżącej w cieniu cedru pana Wentwortha. Kiedy ścinała kwiaty do wazonu, urzekł ją roztaczający się stamtąd widok na góry.

– Tak – powiedziała do siebie. – Tu będzie świetnie.

Zaskoczyła ją ta myśl, a jeszcze bardziej stanowczość, z jaką podjęła decyzję.

Wytlumaczyła sobie, że to część postanowienia, by rozpocząć nowy rok, 1959, ze świeżym spojrzeniem i nowymi oczekiwaniami. Lecz jakiś cichy głos podpowiadał Isabel, że podjęła tę decyzję, żeby zirytować Thomasa. Odkąd odkryli zdjęcie w sepii, na którym pan Wentworth i jego brodaci wiktoriańscy przyjaciele zasiadali w eleganckich drewnianych fotelach na wschodniej części trawnika, twierdził uparcie, że to idealne miejsce do podejmowania gości. Isabel nie była tego pewna, od kiedy zaczęła czerpać wstydliwą przyjemność z

widoku pionowej zmarszczki, która pojawiała się między brwiami męża.

Gwałtowny podmuch wiatru omal nie wyrwał jej z rąk sznura chorągiewek, musiała więc chwycić się mocno najwyższego szczebla drewnianej drabiny. Rano sama przyniosła ją z szopy w ogrodzie, co sprawiło jej nie lada radość. Kiedy się na nią wspięła, wróciło do niej wspomnienie z dzieciństwa – wycieczka z rodzicami do Hampstead Heath, gdzie wdrapała się na jedną z ogromnych sekwoi i spoglądała na południe, w stronę Londynu.

– Widzę katedrę Świętego Pawła! – zawołała do stojących w dole rodziców, gdy przez wiszący w powietrzu smog dostrzegła znajomą kopułę.

– Nie puszczaj gałęzi! – odrzyknął ojciec.

W chwili gdy to powiedział, Isabel poczuła przemożną ochotę, żeby zrobić mu na przekór. I ta chęć na chwilę pozbawiła ją tchu.

Teraz stado kakadu, trzepocząc różowo-szarymi skrzydłami, wystrzeliło spod gałęzi banksji i Isabel zamarła. Ktoś tam był. Zawsze miała wyczulony szósty zmysł. „Musisz mieć coś na sumieniu”, powtarzał Thomas w Londynie, kiedy jeszcze byli sobą urzeczni. „Bzdura – odpowiadała. – Jestem po prostu niebywale spostrzegawcza”. Stała nieruchomo na szczycie drabiny i nasłuchiwała.

– Tam, patrz! – dobiegł jej uszu teatralny szept. – Pospiesz się i zabij go kijem.

– Nie mogę!

– Możesz. Musisz. Przysięgłaś.

To tylko dzieci, Matilda i John, pomyślała z ulgą, wciąż jednak zachowywała się jak najciszej, bo nie chciała, by ją zauważyły.

– Po prostu skręć mu kark i będzie po wszystkim. – To była jej młodsza córka, dziewięcioletnia Evie.

– Nie mogę.

– Och, John – rzuciła Matilda. – Dawaj go tu. I nie bądź taki wkurzający.

Isabel rozpoznała tę zabawę: polowanie na węża. Była zainspirowana antologią wierszy „poetów buszu”, którą przysłała Nora.

Isabel czytała je na głos, a dzieci słuchały z przejęciem. Podobnie jak wiele tutejszych historii, ta również stanowiła ostrzeżenie. Wyglądało na to, że w miejscu takim jak to należy się bać mnóstwa rzeczy: węży i zachodów słońca, burz z piorunami, suszy, cięży, gorączki, pożarów buszu, powodzi, szalonych byków, wron, orłów, obcych oraz „włóczęgów, którzy uniknęli stryczka” i wychodzili z buszu, pałając żądzą mordy.

Czasami ta mnogość niebezpieczeństw przytłaczała Isabel, dzieci były jednak Australijczykami z krwi i kości; rozmiłowane w tych opowieściach, cieszyły się zabawą. Było to jedno z niewielu zajęć, w których uczestniczyły wszystkie, mimo dzielącej je różnicy wieku i zainteresowań.

– Mam!

– Świetna robota.

Salwa śmiechu.

– Dobra, chodźmy dalej.

Uwielbiała słuchać ich radosnych, hałaśliwych głosów, a jednak wstrzymała oddech, czekając, aż zaafierowane grą, oddała się nieco. Czasami – choć nigdy nie przyznałaby się do tego głośno – łapała się na tym, że wyobraża sobie, jak by to było, gdyby mogła sprawić, że wszystkie znikną. Oczywiście tylko na trochę; bo przecież strasznie by za nimi tęskniła. Powiedzmy, na godzinę, na jeden dzień, najwyżej na tydzień. Na tyle, by miała czas pomyśleć. Zawsze brakowało jej czasu i nigdy nie miała go wystarczająco dużo, żeby podążyć za myślą do logicznego wniosku.

Gdy o tym wspominała, Thomas patrzył na nią, jakby była szalona. Miał dość wyrobione zdanie na temat macierzyństwa. I bycia żoną. W Australii żony często same musiały radzić sobie z węzami, pożarami i dzikimi psami. Thomas mówił o tym z dziwnym błyskiem w oku, charakterystycznym dla romantycznych sentymentalistów zafascynowanych folklorem swojego kraju. Lubił malować przed nią obraz żony mieszkającej w głuszy, dzielnie znoszącej trudy życia i dbającej o domowe ognisko, podczas gdy on beztrudnie rozbija się po świecie.

Dawniej bawiła ją ta myśl. Była śmieszniejsza, gdy myślała, że Thomas żartuje. Ale miał rację, kiedy przypominał jej, że przystała na jego wielki plan i chętnie skorzystała z okazji, by zakosztować czegoś innego. Wojna była długa i posępna, a gdy dobiegła końca, Londyn sprawiał wrażenie odrażającego, smutnego miejsca. Isabel była zmęczona. Thomas miał również rację, kiedy zauważył, że życie w wielkim domu w niczym nie przypomina życia w głuszy. Miała przecież telefon, światła elektryczne i zamek w każdych drzwiach.

Co nie oznaczało, że czasami, kiedy dzieci kładły się spać, dom nie wydawał się pusty i bardzo ciemny. Nawet czytanie, w którym od dawna znajdowała pociechę, nie łagodziło poczucia osamotnienia.

Trzymając się drabiny, Isabel wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, czy lampiony będą wisiały dokładnie nad stołem. Zawieszenie ich było trudniejsze, niż przypuszczała. Gdy zajmował się tym Henrik, wszystko wydawało się takie proste. Mogła – powinna była – poprosić go, żeby zrobił to, zanim poprzedniego dnia skończył pracę. Nie zapowiadano deszczu; można więc było zawiesić chorągiewki wieczorem. A jednak nie mogła tego zrobić. Ich relacje zmieniły się, odkąd pewnego popołudnia zastała go w biurze, pracującego do późna, kiedy Thomas był w Sydney. Teraz, gdy prosiła go, żeby wykonał drobne prace wokół domu, czuła się zakłopotana i dziwnie obnażona.

Musiała sama zająć się lampionami, choć wiatr jej w tym przeszkadzał. Podjęła decyzję o zachodniej części trawnika, nim zaczęło wiać. Zapomniała, że to mniej osłonięta część ogrodu. Lecz Isabel całe życie była uparta. Mądry przyjaciel powiedział jej kiedyś, że ludzie nie zmieniają się z wiekiem, stają się tylko starsi i smutniejsi. Na to, że się starzeje, nie miała wpływu, zamierzała jednak walczyć ze smutkiem. Na szczęście z natury była optymistką.

Problem w tym, że wietrzne dni przynosiły ze sobą niepokój. Przynajmniej ostatnio. Isabel była pewna, że nie zawsze czuła to nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Kiedyś, w innym życiu, słynęła z tego, że miała nerwy ze stali. Teraz zdarzało się, że ogarniała ją nagła trwoga. Jak gdyby stała samotna na powierzchni życia, które

wydawało się kruche niczym szkło. Pomagało oddychanie. Zastanawiała się, czy potrzebuje nalewki, czy może raczej herbaty. Czegoś, co uspokoi jej myśli na tyle, że będzie mogła zasnąć. Rozważała nawet pójście do lekarza, ale nie do męża Maud McKendry, przy głównej ulicy. Boże, broń!

Poradzi sobie z tym. Choć nikomu o tym nie wspomniała, było to kolejne z jej noworocznych postanowień: odzyskać spokój i równowagę. Dawała sobie na to rok. Ludzie na niej polegali i uznała, że najwyższa pora wziąć się w garść.

W tym roku skończy trzydzieści osiem lat. Prawie czterdzieści! Ani jej ojciec, ani matka nie dożyli takiego wieku. Może właśnie dlatego ostatnio tak często wracały do niej wspomnienia z dzieciństwa. Zupełnie jakby upłynęło wystarczająco dużo czasu, żeby w końcu mogła spojrzeć za siebie i zobaczyć je jasno i wyraźnie, z drugiej strony oceanu czasu. Prawie nie pamiętała, jak go przemierzyła.

To niedorzeczne, że czuła się samotna. Mieszkała w tym domu od czternastu lat, otoczona dużą rodziną – Bóg jeden wiedział, że nawet gdyby chciała, nie uciekłyby od dzieci. A jednak bywały chwile, gdy przerażała ją samotność i dręczyło poczucie, że straciła coś, czego nie potrafi nazwać, niemożliwe więc, by to odzyskała.

W dole, na zakręcie podjazdu, coś się poruszyło. Isabel wytężyła wzrok. Tak, nie zdawało się jej: ktoś się zbliżał. Ktoś obcy? Traper na koniu, żywcem wyjęty z wiersza Banjo Patersona?

Dopiero widząc owiniętą brązowym papierem paczkę, uświadomiła sobie, że to listonosz. W Nowy Rok! Jedną z zalet życia w małym miasteczku, gdzie wszyscy wszystkich znają, były nietypowe godziny doręczania poczty, ale czegoś takiego się nie spodziewała. Ogarnięta radosnym podnieceniem, usiłowała jak najszybciej zawiązać sznur chorągiewek, żeby móc zejść i odebrać przesyłkę. Miała nadzieję, że to coś, co zamówiła kilka tygodni temu. Jej wyzwolenie! Nie spodziewała się, że przyjdzie tak szybko.

Tymczasem wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Sznurek się splątał, a wiatr szarpał chorągiewkami. Isabel walczyła z nimi przez chwilę, po czym zakłęła pod nosem i obejrzała się przez ramię na

listonosza.

Nie chciała, żeby zaniósł paczkę do domu.

Kiedy był już przy ostatnim łuku podjazdu, uświadomiła sobie, że jeśli chce zdążyć zejść, musi puścić sznurek.

– Halo! – zawołała po chwili wahania i pomachała ręką. – Tu jestem!

Mężczyzna z zaskoczeniem podniósł wzrok, a gdy kolejny silny podmuch zmusił Isabel, by mocniej załapała się drabiny, dotarło do niej, że się pomyliła. Bo choć nieznajomy rzeczywiście trzymał paczkę, nie był listonoszem.



## *Wigilia Bożego Narodzenia, 1959*

Później, kiedy go o to pytano – a w ciągu jego długiego życia zdarzało się to wielokrotnie – Percy Summers odpowiadał zgodnie z prawdą: myślał, że śpią. Bo cóż innego mogliby robić w taki upał? W grudniu na południe napłynęło od wschodu pustyńne gorące powietrze i zawisło nad nimi, niewidoczne i nieruchome. Co wieczór słuchali w radiu raportów pogodowych, czekając na wieści o załamaniu pogody, te jednak nie nadchodziły. Przez całe popołudnia stali oparci o płoty sąsiadów i mrużąc oczy, wpatrywali się w znikającą za horyzontem na skraju miasta drżącą kulę słońca. Kręcili głowami i narzekali na przekłęty upał, pytając się nawzajem, kiedy wreszcie się to skończy, choć nie liczyli na odpowiedź.

Tymczasem na wzgórzach okalających dolinę rzeki stały w ciszy wysokie, smukłe eukaliptusy gałkowe, których łaciate pnie lśniły metalicznie. Drzewa były stare i wszystko już widziały. Stały tu na długo przed tym, jak pojawiły się domy z kamienia, drewna i żelaza, a także drogi, samochody i ogrodzenia, zanim wyrosły rzędy winorośli i jabłoni i powstały zagrody, w których wypasano bydło. Były tutaj pierwsze i dzielnie stawiały czoło piekielnym upałom lata i chłodnej wilgoci zimy. W tym prastarym miejscu, krainie skrajności.

Lato 1959 roku było jednak upalne nawet jak na tutejsze standardy. Tam gdzie prowadzono pomiary, padały kolejne rekordy temperatury, a mieszkańcy Tambilli boleśnie to odczuwali. Żona

Percy'ego, Meg, wstawiała bladym świtem, by dostarczyć mleko do sklepu, zanim skwaśnieje. Jimmy Riley mówił, że nawet jego ciotki i wujowie nie pamiętali takiej suszy, a po wydarzeniach roku 1955 wszyscy obawiali się pożarów.

*Czarna niedziela*, tak pisały o tym gazety. Najgorsze pożary, od-  
kąd założono kolonię. Cztery lata temu drugi dzień stycznia roz-  
począł się z poczuciem nadchodzącej katastrofy. W nocy znad su-  
chych równin nadciągnęła burza piaskowa, która przetoczyła się na  
północ; gorące podmuchy wiatru osiągały prędkość stu kilometrów  
na godzinę. Drzewa gięły się ku ziemi, zrzucając liście do wąwozów,  
a z budynków gospodarczych odrywała się blacha falista. Zerwane  
linie wysokiego napięcia sypały iskrami, dając początek małym ogni-  
skom, które rosły i rozprzestrzeniały się, aż w końcu połączyły się i  
utworzyły wielką zachłanną ścianę ognia.

Miejscowi godzinami walczyli z żywiołem, rzucając mokre wor-  
ki, suchą ziemię i co tylko mieli pod ręką, aż w końcu, cudem, pod  
wieczór zaczął padać deszcz, a wiatr zmienił kierunek. Cóż z tego,  
skoro ogień strawił około czterdziestu domostw i pozbawił życia  
dwie osoby. Od tamtej pory mieszkańcy domagali się straży pożar-  
nej z prawdziwego zdarzenia, ale władze miasta zbyt wolno podej-  
mowały decyzje. W tym roku, równie upalnym i suchym, ludzie po-  
stanowili wziąć sprawy we własne ręce.

Jimmy Riley, który pracował jako tropiciel dla farmerów z Hills,  
od lat mówił o konieczności oczyszczania gruntu. Twierdził, że jego  
przodkowie od tysięcy lat prowadzili regularne powolne wypalanie  
ziemi, ograniczając ilość materiału palnego, tak żeby nie miało co  
zająć się ogniem w te upalne dni, kiedy wieją wiatry z północnego  
zachodu, a najmniejsza iskra może wywołać pożar. Percy uważał, że  
ludzie pokroju Jimmy'ego Rileya, znający ten kraj na wskroś, nie cie-  
szą się takim posłuchem, na jaki zasługują.

Ostatnie wezwanie przyszło tydzień wcześniej od Angusa Mc-  
Namary, mieszkającego nieopodal Meadows. Dzięki umiarkowa-  
nym deszczowym latom po pamiętnym 1955 roku ziemia odżyła,  
a las Kuitpo był gęsty jak nigdy. Wystarczyłby jeden piorun, jedna

zapałka, żeby rozszalał się pożar. Trudzili się cały tydzień i skończyli wycinkę tuż przed Bożym Narodzeniem. Na weekend co prawda zapowiadano burze, lecz mogło zdarzyć się tak, że przejdą bokiem i susza będzie trwała w najlepsze. Meg nie była zachwycona, kiedy Percy powiedział jej, że najbardziej pracowity czas w roku spędzi poza domem, wiedziała jednak, że tak trzeba, a jej mąż nie należał do ludzi, którzy uchylali się od obowiązków. Synowie mieli zastępować go w sklepie i Meg niechętnie przyznała, że odrobina prawdziwych obowiązków wyjdzie im na dobre. Percy zostawił im forda, a sam pojechał do Meadows na grzbiecie Blaze.

Prawdę mówiąc, wołał jechać konno. Podczas wojny musiał odstawić pick-upa, bo benzyna była towarem deficytowym – wszystko rekwirowały armia i inne służby – więc kiedy w końcu mógł ponownie uruchomić silnik, zdążył odzwyczaić się od jazdy samochodem. Trzymali pick-upa do przewożenia większych dostaw, lecz kiedy tylko mógł, Percy siodłał Blaze. Klacz była już stara i w niczym nie przypominała płochliwego źrebaka, który trafił do nich w 1941 roku. Wciąż jednak uwielbiała przejażdżki.

Posiadłość McNamarów była dużą hodowlą bydląt po tej stronie Meadows, którą większość ludzi nazywała po prostu Stacją. Dom był duży i niski, z szeroką werandą dookoła i żelaznym daszkiem, który miał chronić przed upałem. Percy’emu zaproponowano, żeby nocował w szopie, on jednak wołał spać pod gołym niebem. Zajęty sklepem i dorastającymi synami, nieczęsto miał okazję do biwakowania. Chłopcy, w wieku szesnastu i czternastu lat, byli wyżsi od ojca, nosili ten sam rozmiar butów co on i woleli spędzać czas z przyjaciółmi, niż biwakować ze staruszką. Percy nie miał synom za złe ich niezależności, ale tęsknił za nimi. Niektóre z jego najlepszych wspomnień wiązały się z tym, jak razem siedzieli przy ognisku, opowiadali sobie historie, śmiali się, liczyli gwiazdy na nocnym niebie, a on uczył ich znajdować świeżą wodę i zdobywać pożywienie.

Na święta dał im po nowej wędce. Meg zarzuciła mu rozrzutność, kiedy przyniósł do domu prezenty z miasta, ale powiedziała to z uśmiechem. Rozumiała, że wciąż próbuje pozbiierać się po śmierci

Buddy'ego, ich starego psa, który zdechł na wiosnę. Percy usprawiedliwił wydatek, przypominając jej, że Marcus świetnie radzi sobie z wędką i całkiem nieźle mógłby na tym zarobić. Starszy, Kurt, po ukończeniu szkoły wybierał się na uniwersytet, jako pierwszy w rodzinie, i choć Percy starał się nie chęłpic przesadnie ocenami syna – zwłaszcza nie w towarzystwie Marcusa – był dumny jak diabli. Meg również. Nawet ostatnio, kiedy Kurtowi wpadła w oko Matilda Turner, nie opuścił się w nauce. Percy żałował, że jego nieżyjąca matka nie może przeczytać, co piszą o jej wnuku nauczyciele.



Poszycie było wyschnięte na wiór i drobne gałązki pękały z trzaskiem pod kopytami Blaze. Opuścili Stację bladym świtem i byli w drodze cały dzień. Jechali powoli, w równym tempie, trzymając się cętkowanego cienia wszędzie tam, gdzie tylko mogli. Przed nimi majaczył skraj Hahndorfu; jeszcze trochę i będą w domu.

Grzejące go w kark promienie słońca i miarowe bzyczenie owadów sprawiły, że Percy'ego ogarnęła senność. Suche letnie powietrze obudziło w nim wspomnienia z czasów dzieciństwa, kiedy leżał w łóżku, w małym pokoju na tyłach domu, w którym mieszkał z rodzicami, i nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. Zamykał oczy, żeby lepiej wyobrazić sobie toczące się za oknem życie.

Większość dwunastego roku życia Percy spędził w łóżku. Nie było to łatwe dla chłopca przyzwyczajonego, że chodzi, gdzie i kiedy chce. Słyszał przyjaciół na ulicy, którzy grając w piłkę, wołali do siebie, śmiali się i sprzeczali. Tak bardzo chciał do nich dołączyć, poczuć krew pulsującą w nogach, serce tłukące się w piersi. Czuł, że się kurczy, że obraca się w nicość.

Jego matka pochodziła z silnej anglikańskiej rodziny i nie zamierzała patrzeć bezzwyczajnie, jak syn pogrąża się w rozpacz.

– To bez znaczenia, że twoje ciało jest przykute do łóżka – powiedziała stanowczym, rozsądnym głosem. – Możesz podróżować na inne sposoby.

Zaczęła od książeczki dla dzieci z historyjkami o misiu koala,

który chodził o lasce, o żeglarzu i pingwinie, o miseczce z budyniem, która w cudowny sposób wciąż wypełniała się na nowo. Doświadczenie to było dla niego prawdziwym objawieniem. Nawet jako dziecko Percy nie lubił książek. Widział je na biurku nauczycielki w szkole, lecz – ponieważ pozostawał pod silnym wpływem ojca – kojarzyły mu się z karą i ciężką pracą. Nie miał pojęcia, że między okładkami tkwiły zamknięte całe światy, pełne ludzi i miejsc, zabawy i humoru, które czekały tylko, by w nich zawitał.

Kiedy usłyszał opowieści dla dzieci wystarczająco wiele razy, by móc cytować je z pamięci, ośmielił się zapytać matkę, czy ma może inne książki. Widząc jej wahanie, wystraszył się, że być może przekroczył jakąś niewidzialną granicę, że opowieści ulecą mu z głowy i znów zostanie sam, mając za jedyne towarzystwo swoje połamane ciało. Matka jednak w końcu mruknęła pod nosem: „Zobaczę” i zniknęła w powozowni na tyłach ogrodu, w miejscu, do którego nie zapuszczał się ojciec.

Aż strach pomyśleć, ale gdyby Percy nie zachorował na polio, być może nigdy nie poznałby Jane Austen.

– Ją lubiłam najbardziej – oznajmiła cicho matka, jak gdyby zdradzała mu sekret. – Zanim poznałam twojego ojca.

Powiedziała, że nie ma czasu mu jej czytać – „Jeśli nie będę sprzedawała mleka i jaj, całe miasto umrze z głodu” – ale włożyła Percy’emu książkę w dłoń i w milczeniu, z powagą, skinęła głową. Zrozumiał, co miał znaczyć ten gest. Byli teraz współspiskowcami.

Potrzebował trochę czasu, żeby przyzwycząić się do języka, i niektóre słowa były dla niego nowe, lecz i tak musiał leżeć, a gdy raz wkroczył do świata Jane Austen, nie mógł z niego wyjść. *Duma i uprzedzenie*, *Rozważna i romantyczna*, *Emma*. Z początku wydawało mu się, że świat tych powieści jest zupełnie inny od tego, w którym żył, lecz im dłużej czytał, tym częściej rozpoznawał w bohaterach ludzi z miasteczka z ich wysokim mniemaniem o sobie, ich ambicję, nieporozumienia, zmarnowane okazje, tajemnice i urazy. Śmiał się z nimi, cicho płakał w poduszkę, kiedy cierpieli, i radował się, gdy w końcu dostrzegali światło. Uświadomił sobie, że pokochał te

fikcyjne postacie, i nie wiedzieć czemu, przejmował się ich losem równie mocno, jak przejmował się losem rodziców i najlepszych przyjaciół.

Kiedy przeczytał niewielki stosik książek, które matka trzymała w pudełku w szopie, przekonał ją, żeby wypożyczyła kolejne trzy z objazdowej biblioteki. Czytał zwrócony plecami do drzwi, gotów ukryć książkę pod kołdrą, gdy w korytarzu rozlegną się kroki ojca. Ojciec przychodził każdego wieczoru po pracy, stawał przy łóżku i marszcząc z frustracją brwi, pytał Percy'ego, czy czuje się lepiej, i modlił się w duchu, by bezużyteczne nogi syna odzyskały dawną sprawność.

Być może jego modlitwy podziałały, bo Percy okazał się jednym z niewielu szczęśliwców. Co prawda nie mógł grać już w piłkę i był za wolny na boisku do krykieta, ale dzięki szynom powoli odzyskał władzę w nogach i w późniejszych latach ktoś, kto patrzył na chłopca zgłaszającego się do sędziowania, musiał się nieźle natrudzić, żeby dostrzec, że jest mniej sprawny fizycznie od kolegów.

Percy nie przestał czytać, ale też nie rozповідаł o tym. Czytał beletrystykę i literaturę faktu, a z upływem lat, gdy jego zmieniające się uczucia sprawiły, że sam sobie wydał się obcy, również poezję. Pożerał wiersze Emily Dickinson, zachwycił się Wordsworthem i znalazł przyjaciela w Keatsie. Zastanawiał się, jak to możliwe, że T.S. Eliot, który urodził się w Ameryce, lecz spędził życie w Londynie – mieście historii, angielskości, obcym Percy'emu, tajemniczym i pełnym budynków z szarego kamienia – potrafił zajrzeć mu do serca i dostrzec jego rozważania na temat czasu, pamięci i tego, co znaczy być człowiekiem.

Zachowywał te myśli dla siebie. Nie chodziło o to, że się ich wstydził – wiedział tylko, że inni chłopcy w Tambilli nie dzielają jego zainteresowań. Nawet Meg patrzyła na niego niepewnie, gdy zabiegając o jej rękę, zapytał ją o ulubioną książkę. Zawahała się, po czym odrzekła: „To oczywiście. Biblia”. W tamtym czasie uznał tę odpowiedź za przejaw pobożności, lecz i tak go zaskoczyła, zważywszy na inne rzeczy, które sobie mówili. Ale kiedy po roku, może dwóch

latach po ślubie znów podjął ten temat, Meg spojrzała na niego zmieszana, a potem wybuchła śmiechem.

– Myślałam, że sprawdzasz, jak bardzo jestem cnotliwa – odparła. – Nie chciałam cię zawieść.



Boki Blaze pokryte były pianą, więc Percy zatrzymał się przy korycie na głównej ulicy Hahndorfu, żeby klacz mogła się napić i odpocząć. Zeskoczył z siodła i owinął lejce wokół słupka.

Minęła trzecia po południu; ulica była zacieniona dzięki setkom wielkich kasztanowców, wiązów i platanów, którymi obsadzono ją przeszło pół wieku temu. Niektóre sklepy wciąż były otwarte. Percy zatrzymał się przed warształem tokarskim, gdzie na półkach stały ręcznej roboty towary: miski i inne naczynia, niektóre bogato zdobione.

Wszedł do środka.

– Ten mały strzyżyk – zwrócił się do dziewczyny za ladą. Przez cały dzień nie odzywał się do nikogo i własny głos wydał mu się dziwny. – Mogę go obejrzeć?

Dziewczyna sięgnęła po figurkę i podała ją Percy'emu.

Przez chwilę obracał ją w dłoniach, przyglądając się jej z każdej strony. Podniósł ją do światła i podziwiał kruchą ptasią szyję i przypominające wachlarz pióra w ogonku. Podobieństwo do prawdziwego ptaszka było zdumiewające, a wykonanie pierwszorzędne.

– To na prezent? – spytała dziewczyna.

Percy odłożył figurkę na ladę i pokiwał głową.

– Żona zbiera figurki ptaków.

Dziewczyna zaproponowała, że zapakuje ptaszka. Na zapleczu, gdzie pakowała prezenty dla bliskich, miała ozdobny papier świąteczny i srebrną wstążkę.

Zapłaciwszy za prezent, Percy ukrył paczuszkę w kieszeni.

– Wesołych świąt – powiedział.

– Nawzajem, panie Summers. Proszę pozdrowić ode mnie żonę. – Musiał wyglądać na zaskoczonego, bo się roześmiała. – Obie

należymy do koła gospodyń wiejskich. Pani Summers będzie zachwycona strzyżkiem. Wyznała mi kiedyś, że ma słabość do ptaków i uwielbia je od dzieciństwa.



Percy nie mógł sobie przypomnieć, kiedy pierwszy raz zauważył Meg. Właściwie zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu. Przez dłuższy czas była jednym z kilkorga młodszych dzieci, które gromadziły się na piaszczystych padokach albo na brzegu rzeki po deszczu i wymyślały różne gry. Była drobną, wiecznie umorusaną dziewczynką, lecz Percy nie zamierzał jej oceniać. Wszyscy byli wiejskimi dzieciakami, które wkładały czyste ubrania wyłącznie na niedzielną mszę, a i wtedy robiły to tylko dlatego, żeby nie dostać lania od matek.

Pamiętał, że wpadł na nią pewnego dnia, kiedy poszedł do nieczynnej kopalni miedzi, niedaleko miejsca, w którym jeździły pociągi z Balhannah do Mount Pleasant. Chodził tam, gdy chciał uciec przed ojcem, który w dobrej wierze usiłował go „zahartować”. Siedziała na parapecie starego domu kruszarza; łzy spływające jej po policzkach mieszały się z brudem i smarkami. Jak, na Boga, się tam dostała? – zastanawiał się Percy. Dopiero później, kiedy poznał ją lepiej, uświadomił sobie, że za twarzą aniołka kryła się niezłomna wola przetrwania.

Zawołał ją i spytał, co się stało, ale z początku nie chciała nic powiedzieć. Nie naciskał, zajął się własnymi sprawami. Przez jakiś czas czytał w cieniu wielkiego okrągłego komina, a gdy przyszła pora rozprostować nogi, wszedł w wysoką trawę, by poszukać płaskich kamieni, które mógłby przerzucić na drugą stronę tamy. Czuł na sobie spojrzenie Meg, ale nie próbował jej zagadywać. Musiało ją jednak zainteresować to, co robił, bo w pewnym momencie jak spod ziemi wyrosła u jego boku i razem z nim zaczęła szukać kamyków.

Pracowali w kojącej ciszy, przerywanej od czasu do czasu pełnym uznania gwizdnięciem Percy’ego, kiedy Meg puściła wyjątkowo imponującą kaczkę. W porze lunchu podzielili się z nią kanapką. Jedli w milczeniu do czasu, gdy uwagę Percy’ego przykuł kolorowy ptak.



– Łowczyk czczony – oznajmił, wskazując stroszącego piórka ptaka, który przycupnął na gałęzi pobliskiej rzewni skrzypolistnej.

– Nie. To kukabura.

Percy pokręcił głową.

– To ta sama rodzina, ale jej ciemniejsze pióra są turkusowe. Zaczekaj, aż zauważy jaszczurkę albo żuka, wtedy zobaczysz, jak błyszczą w słońcu.

– A to co za ptak?

– Koralicowiec czerwony.

– A tamten?

Percy zauważył czarno-białego ptaka z jasnożółtym dziobem.

– Miodożer maskowy. Nie słyszysz?

– A tamten? – Dziewczynka wskazała małego ptaszka z jaskrawoniebieską pierśią i długimi prostymi piórami ogonka, skierowanymi ku górze.

– Chwostka szafirowa.

– Jest najładniejsza.

– To samiec.

– Skąd wiesz?

– Samce są ładniejsze. Samiczka jest brązowa z odrobiną zieleni na ogonku.

– Jak tamta?

Percy, wyrażając wzrok, spojrział we wskazanym kierunku.

– Właśnie tak.

– Wiesz dużo rzeczy – zauważyła.

– Co nieco wiem – przyznał.

Kiedy nadszedł czas powrotu do domu, zapytał Meg, czy chce z nim jechać. Mógł podwieźć ją do miasta. Zmierchało i w powietrzu czuło się nadciągający deszcz. Dziewczynka wahała się chwilę, po czym wyznała mu, że w ogóle nie zamierza wracać: uciekła z domu i dlatego tu przyszła.

Percy dopiero wtedy uświadomił sobie, jaka jest drobna. Patrząc na niego wyzywająco, obejmując się ramionami, wyczuwał jednak, że w głębi duszy ma nadzieję, że zmusi ją, by z nim wróciła.

Jej bezbronność wywołała w nim nagły smutek. I gniew. Wszyscy wiedzieli, że jej ojciec, gdy wpadnie w złość, nie potrafi trzymać pięści przy sobie. Matka Percy'ego mówiła, że zmieniła go wojna. „Ale pokaż mi człowieka, którego nie zmieniła”, dodawała.

Rozumiał, co miała na myśli: całe pokolenie mężczyzn przekonało się, że jedynym sposobem, by zapomnieć o tym, co widzieli i robili, i przestać widywać twarze tych, których ciała zostały w błocie, było upijanie się do nieprzytomności i przenoszenie koszmarów na tych, którzy czekali w domach. Percy miał więcej szczęścia. Jego ojciec był surowy, ale nie stosował przemocy. Do tego musiałby być obecny, tymczasem on błędził myślami gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Z nieba zaczęły spadać pierwsze duże krople.

– Jak chcesz – rzucił Percy. – Ale nocą zrobi się zimno.

– Mam koc.

– Mądra dziewczynka. O kolacji pewnie też pomyślałaś?

– Wzięłam trochę chleba.

Schował książkę do plecaka.

– Wygląda na to, że pomyślałaś o wszystkim. – Sprawdził siodło Prince'a i pociągnął za strzemiona. – Ale w radiu mówili, że dziś w nocy będzie burza. A w zimną deszczową noc suchy chleb to raczej kiepskie jedzenie.

Chmura niepewności zasnęła jej czoło.

– Wiesz – ciągnął Percy – kiedy rano wyjeżdżałem, moja mama gotowała potrawkę. Zwykle gotuje ją cały dzień, tak jak robiła to babcia, i zawsze jest tego za dużo.

– Jaka potrawka?

– Jagnięca.

Dziewczynka przestąpiła z nogi na nogę. Cienkie warkocze opadały jej na ramiona jak dwa mokre sznurki.

– Ale pewnie nie będziesz miała ochoty na talerz albo dwa. Mógłbym cię później odwiedzić tutaj z powrotem.

Nie poprzestała na dwóch talerzach. Zjadła aż trzy. Matka Percy'ego przyglądała się jej z cichą radością. Susan Summers traktowała

obowiązki chrześcijańskie poważnie, więc z chęcią przyjęła pod swój dach głodne, zziębnięte dziecko, które w deszczową zimową noc sta-  
nęło na progu jej domu. Uparła się, że Meg musi wziąć kąpiel, a gdy  
naczynia po kolacji zostały umyte, położyła dziewczynkę na kozetce  
przy trzaskającym ogniu i ta niebawem zasnęła.

– Biedactwo – powiedziała matka Percy’ego, spoglądając na  
Meg znad półokularów. – I pomyśleć, że chciała spędzić noc zupeł-  
nie sama.

– Powiesz jej rodzicom, gdzie jest?

– Będę musiała – odparła i westchnęła ciężko. – Ale zanim po-  
zwolimy jej odejść, zadbamy o to, żeby poczuła, że zawsze jest tu  
mile widziana.

Percy postanowił mieć ją na oku. Nie musiał szukać daleko, żeby  
ją znaleźć. Meg zaczęła spędzać popołudnia w ich sklepie – rozmawia-  
wała z jego matką – i zanim się obejrzał, w weekendy pracowała za  
ładą.

– Jest dla mnie jak córka, której nie miałam – mówiła matka i  
uśmiechała się czule, patrząc, jak Meg podlicza utarg i spisuje listę  
zamówień. – Uprzejma, kompetentna i miła dla oka.

A później, kiedy Meg przestała być dzieckiem i wyrosła na kobie-  
tę, matka powiedziała:

– Pewnego dnia będzie bardzo dobrą żoną. – Dość wymownie,  
choć nie złośliwie, zerknęła na sztywną nogę Percy’ego i dodała: –  
Mężczyzna o pewnych ograniczeniach byłby szczęściarzem, mogąc  
poślubić taką dziewczynę.



Zostawiwszy Hahndorf w tyle, wjechał na znajome tereny pełne  
falistych wzgórz, które ciągnęły się aż do Mount Lofty. Rzędy liścia-  
stych winorośli płały się w promieniach późnopołudniowego  
słońca, a w ciepłym powietrzu unosił się delikatny zapach lawendy z  
farmy kwiatowej Kretschmera.

W miarę jak zbliżał się do Onkaparinga Valley Road, Blaze  
wyraźnie się ożywiała. Sady jabłoniowe ustąpiły miejsca gajom

oliwnym, a gdy przejeżdżał przez most Balhannah, klacz zaczęła potrząsać grzywą i skręcać nieznacznie w stronę wody. Percy ścisnął mocniej wodze i przyłożył dłoń do szyi zwierzęcia.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, staruszko.

Kiedy wróci, Meg będzie miała dla niego mnóstwo roboty. Przed świętami zawsze zdarzały się zamówienia na ostatnią chwilę, a obecność na mszy o osiemnastej trzydzieści, odprowadzanej przez wielbego Lawsona, nie podlegała dyskusji. Odkąd dziesięć godzin temu wyjechał ze Stacji, tylko kilka razy zatrzymał się na postój i choć chciał jak najszybciej wrócić do domu, nie mógł odmówić Blaze wejścia do wody.

Jechał na zachód, w stronę popołudniowego słońca, ale na przedmieściach Tambilli skręcił z drogi i poprowadził klacz w dół stromego trawiastego wąwozu. Wąski strumyk na dnie parowu był dopływem rzeki Onkaparinga, która płynęła na pogórzach pasma Mount Lofty i niczym wąż wiła się doliną. Blaze, uradowana widokiem wody, trącała pyskiem trzciny i kierowała się w dół strumienia. Dotarła do miejsca, gdzie w rozciągniętej na drewnianych słupkach siatce ziała pokaźna dziura. Percy wahał się przez chwilę, lecz zaraz delikatnym szturchnięciem w boki dał jej znać, żeby szła dalej. Był teraz na ziemi Turnera, choć jego dom znajdował się w znacznej odległości.

To właśnie z tej strony jechał, kiedy po raz pierwszy zobaczył ten dom. Zabawne, ale od dawna nie myślał o tamtym dniu. Miał wówczas trzynaście lat i wracał do sklepu po tym, jak dostarczył przesyłkę. Polio być może pozbawiło go szybkości na boisku do krykieta, lecz dosiadając Prince'a, nie różnił się od innych. Ojciec z całego serca przyklasnął pomysłowi – wszystko było lepsze od widoku syna z książką w ręce – i niebawem zaproponował mu pracę po szkole.

Konno mógł przemierzać cały Hahndorf, aż do Nairne i z powrotem, do Balhannah i Verdun. Dolina Piccadilly nastroczała trochę problemów, ale ojciec nigdy nie odrzucał zamówienia, więc Percy nauczył się jeździć szybciej. Powinien wybierać najkrótsze drogi, lecz wołał kluczyć. To było jego miejsce, a te wzgórza były

jego domem i szczerze je kochał.

Przy Willner Road stały tylko nieliczne domy i nigdy nie dostarczał tu przesylek, ale zboczył nieco, żeby przejechać tędy, bo lubił zapach akacji, a po obu stronach drogi rosły duże srebrzystozielone krzewy, które w sierpniu obficie kwitły żółtymi pomponami. Było późne lato, jednak w ten szczególny dzień, tego szczególnego roku, wszystko wokół zdawało się tętnić życiem. Percy wziął głęboki oddech, rozkoszując się ciepłem słońca na koszuli i przyjemnym ziemistym zapachem eukaliptusów i kwiatów. Położył się na szerokim karku Prince'a i równy koński chód kołysał go niczym matczyne ramiona, gdy był małym dzieckiem. Jechał tak jakiś czas, aż dobiegający z góry krzyk zwrócił jego uwagę.

Mrugając, spojrział w bezchmurne niebo, gdzie niesiona ciepłymi prądami para orłów australijskich leniwie zataczała kręgi. Przez chwilę wodził za nimi wzrokiem, a w końcu skierował Prince'a w stronę dziury w płocie i dalej, na szczyt wzgórza. Wzniesienie, nad którym kołowały orły, porastały gęste drzewa. Percy zaczął się zastanawiać, czy gdzieś tutaj ptaki mają gniazdo. Słyszał, że widziano orły nieopodal Cudlee Creek, ale nie sądził, by osiedlały się tak daleko na południu.

Podczas gdy Prince przedzierał się dzielnie między eukaliptusami, Percy obserwował ich najwyższe gałęzie. Wypatrywał przykrytej liśćmi konstrukcji z patyków. Spoglądając to na drzewa, to na niebo – by nie stracić z oczu orłów – z początku nie zorientował się, że przekroczył niewidzialną granicę i wjechał na nieco inny teren. Najpierw jego uwagę zwrócił dziwny dźwięk, jak gdyby ktoś opuścił mu na głowę kopulaste wieko. Nagle gałęzie znalazły się tuż nad nim.

Zauważył, że liście też wyglądają tu inaczej. Wśród eukaliptusów i pozółkłej trawy pojawiły się inne rośliny, a srebrzyste pnie mieszały się z grubymi pniami dębów i chropowatymi pniami wiązów i cedrów. Splątane jeżyny zaściełały ziemię, a liściaste pnącza oplatały gałęzie i zwieszały się między nimi, przez co trudno było dostrzec niebo.

W tym zacienionym świecie temperatura była o kilka stopni

niższa. Nad głową Percy'ego trajkotały ptaki: szlarniki rdzawoboczne i papugi lora, jaskółki, miodojady i strzyżyki. Całe to miejsce tętniło życiem, szanse na znalezienie orlego gniazda były jednak marne.

Zawrócił Prince'a, by ruszyć w drogę powrotną do miasta, kiedy jego uwagę przykuł błysk światła. Promienie popołudniowego słońca odbiły się od czegoś, co rozbłysło między drzewami niczym płonąca pochodnia. Zaciekawiony, skierował konia w górę gęsto zalesionego zbocza. Czuł się jak postać z książki. Pomyślał o Mary Lennox i o tym, jak odkryła tajemniczy ogród.

Krzaki jeżyn rosły tu tak gęsto, że nie sposób było przejechać przez nie konno. Percy zsunął się z siodła i zostawił Prince'a w cieniu grubego dębu. Podniósł z ziemi gałąź i wywijając nią, torował sobie drogę w ciernistej płataninie. Nie był już chłopcem, którego nogi nie zawsze robiły, co im kazał. Był sir Gawainem wypatrującym Zielonego Rycerza, lordem Byronem zmierzającym na pojedynek, Beowulfem wiodącym swoją armię przeciwko Grendelowi. Tak bardzo wczuł się w rolę, że z początku nie zauważył nawet, że wyszedł już z lasu i stoi na szczycie wysypanego żwirem podjazdu.

Przed nim wznosił się nie tyle dom, ile zamek. Dwa ogromne piętra z wysokimi prostokątnymi oknami i przedniej roboty kamienna balustrada z kolumn korynckich, otaczająca płaski dach z czterech stron. Od razu pomyślał o Pemberley i niemal spodziewał się zobaczyć pana Darcy'ego, jak wychodzi przez wysokie podwójne drzwi, ze szpicrutą pod pachą, i zbiega po kamiennych schodach, które zakręcały z gracją i rozszerzały się aż do miejsca, gdzie stał.

Już wtedy wiedział, co to za miejsce. Był to dom wybudowany przez pana Wentwortha. Ludzie twierdzili, że budowanie na pustkowiu czegoś tak wielkiego jest głupotą. Tylko miłość lub szaleństwo – albo połączenie obu tych rzeczy – mogły sprawić, że człowiek wyobraził sobie, a co więcej, zbudował taki dom. W Hills wiele było imponujących kamiennych budynków. Odkąd ludzie zaczęli osiedlać się w Australii Południowej, bogata szlachta zajmowała ziemie i budowała na nich wytworne rezydencje, by móc tu przeczekać lato w łaskawszym klimacie. Lecz Percy jeszcze nigdy nie widział czegoś

takiego.

Plany domu powstały w Londynie i przyplłynęły do pana Wentwortha na statku kupieckim aż z dalekiej Anglii. Koszt budowy był astronomiczny i czterdziestokrotnie przewyższał cenę drugiego w kolejności najdroższego domu w Australii Południowej. „Kto wydaje takie sumy pieniędzy tylko po to, żeby samemu mieszkać w czymś tak szkaradnym?”, szeptali z niedowierzaniem ludzie.

Percy musiał przyznać, że dom jest wielki – nikt, kto miał oczy, nie mógł temu zaprzeczyć – choć wcale nie uważał, że jest szkaradny. Bynajmniej. Przypominał mu ilustrację na frontyspisie jego ulubionej książki.

Po tamtym pierwszym dniu wracał tu, kiedy tylko mógł. Nie opowiedział przyjaciołom o domu. Przynajmniej nie od razu. Ilekroć o nim myślał, ogarniała go dziwna zaborczość. Dom postanowił, że pokaże się właśnie jemu. Ale bycie jedynym strażnikiem tak niesamowitej tajemnicy wkrótce zaczęło mu ciążyć, a chęć podzielenia się nią z kimś wzięła górę. Natychmiast pożałował swojej decyzji. Jego przyjaciele chcieli od razu pobiec tam, zobaczyć dom na własne oczy i wejść do środka. Kiedy wybili szybę, żeby dostać się do wnętrza, Percy poczuł się, jakby to jemu wyrządzono krzywdę.

Parę razy wszedł z nimi do domu. Większość mebli, które przesłano panu Wentworthowi z Anglii, nadal tam była, pokryta warstwą kurzu. Na ścianie nad schodami wisiał duży portret starego mężczyzny. Percy czuł na sobie jego oskarżycielskie spojrzenie i było mu wstyd. Później, kiedy poznał historię Edwarda Wentwortha, zrozumiał dlaczego. Dom zbudowano z miłości, jednak młoda kobieta, która stała się dla niego inspiracją, zmarła wskutek udaru słonecznego na statku do Australii. Pan Wentworth, który czekał na nią w porcie w Adelaide, na wieść o tym, co się wydarzyło, załamał się, nigdy nie doszedł do siebie i zaryglował drzwi domu, by pozostać sam na sam ze swoim smutkiem. Dom stał się sanktuarium dla jego złamanego serca.

W końcu przyjaciele Percy’ego znudzili się domem i zaczęli szukać nowych przygód. Sam Percy także miał więcej zajęć: poślubił

Meg, przejęli sklep, a później wybuchła wojna. Kiedy następnym razem usłyszał o domu, dowiedział się, że kupił go jakiś mężczyzna z Sydney. Nazywał się Turner. Gdy wojna dobiegła końca, po mieście rozeszły się wieści, że on i jego angielska żona zamieszkają tam na wiosnę.



To było czternaście lat temu. Od tego czasu miejsce to bardzo się zmieniło. Ziemia została wykarczowana, a zapuszczony ogród Wentwortha odzyskał dawną świetność. Zaangażowano robotników z miasteczka i okolic i wydano całe mnóstwo pieniędzy (tak przynajmniej twierdziły miejscowe plotkarki), żeby doprowadzić dom do porządku.

Percy wielokrotnie dostarczał tam zakupy i za każdym razem, zbliżając się do domu krętym podjazdem, zachwycał się przemianą, jaka tu nastąpiła. Czasami, kiedy zatrzymywał się na wysuniętym najbardziej na zachód odcinku drogi, żeby Blaze mogła zaczerpnąć tchu, spoglądał ponad ogrodami w kierunku domu i podziwiał zielń trawników, kamienne mury, dzikie jabłonie i kamelie. Zdarzało się wówczas, że gdy zmrużył oczy, przez krótką chwilę dostrzegał, jakby za mgłą, zarośnięty, zaniedbany dom, tak jak wyglądał on na długo przed pojawieniem się tutaj Turnerów.

Tego dnia jednak nie zamierzał podjeżdżać bliżej. Blaze nie miała ochoty wspinać się na Wentworth Hill, a Percy nie miał czasu. Pozwolił, by to ona prowadziła. Dobrze wiedział, dokąd idzie. Staruszka kierowała się na północ, do miejsca, które kochała, gdzie porośnięte wierzbami brzegi stawały się szersze, a rzeka była na tyle głęboka, żeby utworzyć wodopój. Można tam było również popływać.



Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła jego uwagę, był kolorowy proporczyk zawieszony na gałęzi jednej z największych wierzb.

Percy ściągnął wodze i gdy Blaze się zatrzymała, osłonił dłonią oczy. Chwilę później zobaczył kilka osób, które leżały na ziemi w



cieniu drzew, na kocach, a obok stały kosze piknikowe. Najwyraźniej wybrali się na piknik. Na drzewie, na którym był poręcz, ktoś rozwiesił między gałęziami papierowy łańcuch.

Percy był nieco zaskoczony. W tak upalne popołudnie w środku lata większość rozsądnych ludzi siedziała w domach, kryjąc się przed palącym słońcem. Nie spodziewał się, że zastanie tu kogokolwiek. W zamyśleniu pogłodził ciepłą szyję Blaze. Wjechał bez pozwolenia na teren posiadłości i chociaż wiedział, że nikt nie będzie miał mu tego za złe – pani Turner często mu powtarzała, żeby jechał na skrót przez wybiegi dla koni – nie chciał, by pomyśleli, że nadużywa ich uprzejmości. Jak każdy w mieście, był zaintrygowany przyjazdem pani Turner. Teraz ludzie rzadko przeprowadzali się do Tambilli, zwłaszcza po to, by zamieszkać w takim miejscu jak dom Wentwortha, a pani Turner była dystyngowana, dostojna i bardzo angielska.

Powinien był zawrócić i odjechać. Ale gdyby się obudziła i zobaczyła go, jak oddala się chyłkiem, czy nie byłoby to gorsze? Bardziej obciążające?

Później – a w kolejnych dniach, tygodniach i latach wielokrotnie go o to pytano, przede wszystkim jednak w nadchodzących godzinach, kiedy odpowiadał na pytania policjantów – powtarzał, że szósty zmysł podpowiedział mu, że coś jest nie tak. W głębi duszy zastanawiał się, czy rzeczywiście tak było; czy w scenie, którą zobaczył, rzeczywiście było coś upiornego, czy też zapamiętał ją tak ze względu na to, co okazało się potem.

Wiedział tylko, że wtedy delikatnie szturchnął piętami boki Blaze i powoli ruszył w stronę leżących pod wierzbą Turnerów.



Pamiętał, że śpiące dzieci wyglądały jak akwaforty w cennej Biblii należącej do jego matki, tej samej, którą dziadkowie zabrali ze sobą, opuszczając Liverpool. Były to piękne dzieci, nawet chłopiec, John. Miały jasne loki – niechybnie tak samo jak ich ojciec, gdy był dzieckiem – i niesamowicie niebieskie oczy. Wszystkie z wyjątkiem najstarszej dziewczynki, Matildy, której ciemne włosy i zielone oczy

upodabniały ją do matki. Znał trochę Matildę. Była w jednej klasie z Kurtem, a ostatnio między tym dwojgiem zaczęło chyba kielkować jakieś uczucie. Leżała w cieniu najbliższej pnia drzewa, a jej słomiany kapelusz spoczywał na ziemi obok. Podmuchał ciepły wiatr uniósł rąbek jej spódnicy. Stopy miała bose.

Pozostała dwójka dzieci leżała na kocu razem z matką; były związane w pasie ręcznikami, jak gdyby właśnie wyszły z kąpieli. John leżał na plecach, a dziewczynka, Evie, na boku, skulona. Prawe ramię miała wyprostowane.

Percy przypomniał sobie, jak sam zabierał synów nad rzekę i jeziora w Hills, na plażę do Port Willunga, do Goolwy i innych miejsc, gdzie zabierał go ojciec, żeby łowić ryby i zbierać małże. Niemal czuł przyjemną senność, jaka ogarnia człowieka, gdy po wyjściu z wody czuje na skórze ciepłe promienie słońca.

Z najprostszej gałęzi wierzby zwisał wiklinowy kosz. To Meg powiedziała mu, że pani Turner w końcu urodziła. Miesiąc albo dwa temu, kiedy wrócili z kościoła, stanęła przed lustrem w korytarzu, żeby wyjąć szpilkę z kapelusza i poprawić włosy.

– Słyszałeś, że pani Turner urodziła?! – zawołała do Percy’ego, który w kuchni nalewał wodę do czajnika. – Śliczne maleństwo z poważną buźką.

– Tak?! – odkrzyknął Percy.

– To już czwarte. Lepiej, że to ona, a nie ja – dodała ze śmiechem Meg. – Nie pozwól, żeby miały nad tobą przewagę liczebną. Oto moje motto.

Od tamtej pory widywał panią Turner w mieście. Kilka tygodni temu szła z dzieckiem na ręce i omal nie wpadł na nią, wychodząc ze sklepu. Zawstydzony, oblał się rumieńcem, ale ona uśmiechnęła się, jakby nic się nie stało.

Percy niósł duży worek mąki, więc nie mógł uchylić kapelusza. Skinął tylko głową.

– Jak się pani ma, pani Turner?

– Dziękuję, bardzo dobrze. I dziecko także.

Wzrok Percy’ego spoczął na opatulonej kocykiem drobnej

buźce. Zobaczył parę niebieskich oczu i jasne brwi ściągnięte niby to w zamyśleniu, co widuje się u wszystkich niemowląt i co znika wraz z pierwszym uśmiechem.

– Jest takie maleńkie – powiedział.

– To prawda, co mówią. Człowiek zapomina.

Meg, która dołączyła do nich na chodniku, zaczęła pieszczotliwie przemawiać do dziecka, a zaraz potem przeproszać panią Turner.

– Mój mąż zwykle nie jest roztrzepany, ale jeśli już popełnia błąd, to zawsze widowiskowy. Mam nadzieję, że smakowała państwu pasta rybna, którą przesałam?

– Była przepyszna, pani Summers. Właśnie się wybierałam do pani, żeby upewnić się, że dopisze ją pani do rachunku. Miałam zamiar zadzwonić, ale ostatnio jestem dziwnie rozkojarzona.

– Nie dziwię się – odparła Meg i czubkiem palca pogłaskała dziecko po policzku. Jej swoboda kontrastowała z zakłopotaniem Percy’ego, przez co czuł się jeszcze bardziej niezdarzy. – Dzieci potrafią zaleźć za skórę, prawda? Uroczę maleństwo, jest taka śliczna.

Ona. Percy nie miał pojęcia, że żona wie. Pospiesznie zerknął na jej twarz, szukając na niej śladów smutku albo zazdrości, ale ona uśmiechała się do śpiącego dziecka.

Teraz, na widok pani Turner leżącej na kocu, Percy poczuł, że się rumieni, zupełnie jakby podkradł się tutaj celowo. Pod wierzbą wyczuwało się dziwną intymność i bezbronność. Patrzył na śpiącą rodzinę, która chwilę wcześniej zjadła razem lunch, o czym świadczyły talerze i filiżanki na kocu, a także skórki chleba i okruchy ciasta.

Dopiero po chwili uderzył go bezruch tego obrazu. Był wręcz nienaturalny.

Percy zdjął kapelusz. Później zastanawiał się, dlaczego właściwie to zrobił. Słyszał własny oddech: wdech i wydech, wdech i wydech.

Coś się poruszało na nadgarstku młodszej z dziewczynek. Percy zbliżył się o krok. I wtedy zobaczył sznur mrówek, ciągnący po jej ciele i wyprostowanej ręce do resztek jedzenia.

Poza tym wszystko było ciche i nieruchome. Nikt nie poruszał się we śnie. Nie ziewał ani się nie wiercił, kiedy ciepły wiatr łaskotał

odsłoniętą skórę. Żadna pierś nie unosiła się ani nie opadała.

Percy podszedł do pani Turner i uklęknął przy jej głowie. Zwilżył palec i zbliżył go do jej nozdry, z nadzieją, że oddech kobiety go osuszy. Uświadomił sobie, że ręka mu drży. Odwrócił wzrok, jakby liczył, że to coś da, jak gdyby miał nadzieję, że wyteżając wszystkie zmysły, zmusi ją do tego, by zaczęła oddychać.

Nic się nie wydarzyło.

Cofnął się, wpadł na kosz piknikowy i wzdrygnął się na dźwięk sztućców i talerzy. Nadal nikt się nie ruszał. Żadna z leżących pod drzewem osób nawet nie drgnęła.

Trzęsącymi się dłońmi Percy włożył kapelusz na głowę. Starał się uspokoić myśli, które gnając szaleńczo, zderzały się ze sobą. Szok i strach – próbował odepchnąć je i oczyścić umysł, żeby zdecydować, co ma teraz zrobić.

Nieco dalej stała Blaze. Nie wahając się ani chwili dłużej, wskoczył na siodło i pognął sprowadzić pomoc.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).